

BEZDOMNOŚĆ NA SPRZEDAŻ

Tomasza obudził jazgot śmieciarki opróżniającej plastikowe kubły, które poprzedniego wieczoru menedżer ustawił wzdłuż alejki, dokładnie naprzeciwko okien przyczepy. A więc już poniedziałek, pomyślał, dzień wolny od pracy, dla niego jakby niedziela. Leżał chwilę, wsłuchując się w trzask i łomot za oknem, w głucho walenie o blachę pustych butelek, słoików, metalowych puszek po sardynkach i makrelach; kto zresztą wie, czym żywią się i poją ludzie na kempingu.

W ustach poczuł kwaśny smak whisky. Spuchniętym językiem potarł spieczone wargi. Po chwili uniósł powieki i rozejrzał się po przedziale sypialnym. Próbował odczytać wskazówki turystycznego budzika, który stał na telewizorze, lecz nie mógł, gdyż przez zasłonięte kotary w oknie przedostawała się tylko jedna wstążka światła, nieśmiało przeszywając półmrok. Przeciągnął się leniwie i w tej samej chwili ogarnął go ból wszystkich mięśni. Założył ręce pod głowę. Łokieć napotkał ciepło jakiegoś ciała. Wtedy dopiero oprzytomniał naprawdę. Zamarł na chwilę, po czym ułożył się na boku, oparł głowę na otwartej dłoni i jał przypatrywać się śpiącej nagiej dziewczynie. Była piękna jak z bajki, miała kruczoczarne włosy, których pukle okalały oliwkową, skrytą w cieniu twarz i drobne ramiona. Leżała na plecach przykryta po piersi rozpiętym śpiworem. Poczul, że udem dotyka jego kolana. Drgnęła natura. Pamięć wypełniła się rozkoszą minionej nocy. Od dawna nie kochał się tak zapamiętane. Poczul, jak znów wypełnia go ciepło i pożądanie, lecz w tej samej chwili do głowy uderzył strumień krwi. Strach. Przerazenie. Atak paniki. Nie mógł sobie przypomnieć, czy wczoraj założył prezerwatywę. Przeklął w myślach wszystkich świętych, nie założył! Skończony debil! Co za skończony debil!

Ostrożnie wysunął się spod śpiwora i usiadł na łóżku, opierając bosc stopy na lepkiem od wilgoci linoleum. Jego nagie ciało spowił rzeński chłód. Poczul, jak od stóp aż po szyję i głowę przebiegły po nim dreszcze. Zawadził o leżącą na podłodze butelkę, która trąciła szklanke po dżemie. Rozległ się melodyjny, nieomal kryształowy brzęk. Dziewczyna nie obudziła się. Skurczył ramiona, pogmerał palcami w włosach i zbliżył twarz do zegara. Było za osiem druga, lecz wskazówka sekundnika, w którą wpatrywał się chwilę, uparcie trwała w miejscu, tuż obok wymalowanego na brązowo-złocistej tarczy kubka z kawą. Tandeta promocyjna: „Rozpocznij dzień od Nescafe!”.

Wstał i cicho przeszedł do miniaturowej kuchenki. Zdało mu się przez moment, że słyszy, jak z każdym krokiem odklejają się od linoleum jego stopy. Prawie z trzaskiem. Rozejrzał się po sprzętach. Na regale stała pusta dwulitrowa butla po coca coli. Zajrzał do małej lodówki, lecz poza wiechciem zwiędłej zieleniny, nagryzionym kawałkiem wyschniętego sera mozzarella i paru butelek sosów i tam nie znalazł niczego. Pustynia. Przecież nie będzie pił sosu do wołowiny. Sięgnął po kubek stojący w zlewozmywaku - ten sam slogan co na budziku - wypłukał fusy po herbacie i napełnił go wodą z kranu. Raj w ustach. Kojący chłód. Kojący gardło chłód i pulsujący z każdym łykiem ból w skroniach. Skończony debil. Ileż to już razy czuł się tak podle? Ileż to lat przeżył w tym obcym mieście? I po co? A wczoraj? Wczorajszej nocy prawie nie pamięta, ma kompletną amnezję. Ta dziewczyna w łóżku... Że też dał się opętać tej pięknej smarkuli. Weszła mu do łóżka, tak jak najpewniej

wchodziła każdemu. Takie szczeniary jak ona są beznadziejnie bezmyślne. Ale on, on - stary dureń? Ileż to już razy zarzekał się, że koniec; że zerwie z tym łajdactwem, opamięta się, spoważnieje. Ale wczoraj myślał inaczej, pragnął jej tylko pomóc, dać schronienie na tę jedną noc. Lecz potem wszystko potoczyło się tak szybko, że ogłupiał z kretesem.

Odstawił kubek na dno zlewu i sięgnął po paczkę papierosów leżącą na stole. Była pusta. Zmiażdżył ją w palcach i cisnął do wypełnionego po brzegi kosza na śmieci. Sięgnął po ręcznik kąpielowy wiszący na gwoździu na śnianie, obwiązał się w pasie i wyszedł do samochodu, który stał metr od przyczepy. Śmieciarka opróżniała właśnie ostatni kubeł. Stalowe widły objęły pojemnik i z lekkością uniosły go jak styropianowy cokół nad otwartą paszczą, w której gniotły się i kotłowały wszelkie odpady. Płowłosy kierowca o nabrzmiałej rumianej twarzy wychylił głowę przez okno kabiny i zakrzyknął na powitanie: - Good day, mate!

Ładny mi dzień, pomyślał, szczerząc zęby w udawanym uśmiechu. W takie dni jak dzisiaj lepiej by się piekło rozstąpiło. Nie lubi poniedziałków. Nie lubi dni wolnych od pracy, ale nie dlatego, że jest pracoholikiem, lecz ponieważ w takie dni przepelnia go pustka, której nie da się zastąpić niczym. Gdy już nie wiesz, co z sobą począć, w jakim kącie skryć głowę - pracuj, pracuj do upadłego. Od wtorku do niedzieli jakoś jeszcze leci, ciągną się wprawdzie tygodnie jak lata, ale jakoś leci. Zawsze pod górę, ale leci. Najgorsze są święta, urodziny królowej, Anzac Day, Labour Day... Monotonne dni świąteczne.

W ubiegłym roku Boże Narodzenie spędził w Tamborine Mountains. Właściwie cały ten czas przesiedział w namiocie nad strumieniem. Czytał, spał, znowu czytał. Wigilijną kolację zjadł na trawie. Ot, rozłożył białą serwetę, porozstawiał słoiki z gotowymi potrawami, wyjął z papieru jakąś rybę, co przypominała karpia, położył plastikowy talerz, usiadł po turecku i zjadł. Tak właśnie, po turecku. Nie miał nawet choinki; sądził, że choinka przypomni mu tylko poprzednie wigilie. Nieodłączne wigilie z Dorotą i Nataszką. Zaprosił go do siebie, co prawda, Andrzej, ale odmówił, chciał te pierwsze swoje własne święta przeżyć samotnie.

Chciał i nie chciał, tak się tylko mówi. W każdym razie usiłował zmienić coś w swoim życiu, przemyśleć przeszłość, zacząć wszystko raz jeszcze, od nowa, inaczej. Choćby i w samotności z wyboru, ale inaczej niż dotąd. Przeliczył się jednak, przeliczył swoje siły, swoją wytrzymałość. Zaraz po wigilii, gdy na dworze zapadł zmrok, ogarnęła go panika, jakby miał się skończyć świat. Wytrzymaj ten wieczór, powtarzał w myślach, o świcie będzie lepiej. O brzasku świat nabiera żywych barw, podejda kangury, przykicają króliki, zakrzyknie na drzewie kukabura - to nic, że wokół pustka i strach, nie pierwszy to i nie ostatni raz. Samotność w lesie, w górach, nad rwącym strumieniem wcale nie jest boleśniejsza od samotności wśród swoich.

Tak też wytrzymał tę noc. Wytrzymał dzień następny, drugą noc i jeszcze kolejny dzień. Do Andrzeja pojechał dopiero na Sylwestra, ale tak mu te święta w górach dopiekły, że zamiast bawić się i tańczyć dobierał sobie co rusz nowych słuchaczy, zamykał się z nimi w wolnym pokoju i opowiadał, opowiadał o swej samotności w górach. Nie wychodź jeszcze, masz, napij się, do północy wciąż daleko, usłyszemy zegar z kukułką, zdążymy trącić się szampankami, życzyć nawzajem szczęścia, pomyślności na ten nadchodzący rok. I nie przeszkadzało mu, że nikt nie słucha, że każdy by tylko o swoim losie gadał, jak gadał Tom Hanks do skórzanej piłki nazwiskiem Wilson, na maleńkiej wysepce pośród Pacyfiku, którą na mapie świata zatopiłoby ułknięcie szpileczki.

Wsiadł do auta i wyjął z szafki rezerwową paczkę papierosów, której zawartość uzupełniał kilkoma sztukami, ilekroć kupował nową. Zawsze, ale to zawsze były w niej papierosy. Oparł się wygodnie w fotelu pasażera, zapalił i zaciągnął się dymem. Z wolna ucichł jazgot śmieciarki, która odjechała na sąsiednią posesję. Teraz trzask butelek dobiegał jak zza światów. Umiarkowaną ciszę wypełnił za to świergot zielonych papug z czerwono-żółtymi jak ogień kołnierzami, które gaworzyły siedząc na pniach i łodygach wysokich po błękitne niebo eukaliptusów i niższych o połowę palm daktylowych. W ciągu dnia drzewa należały do papug, lecz w nocy urządowały wszędzie nietoperze, krzycząc raz po raz skrzekliwie i mając w ciemności skórzastymi błonami skrzydeł.

Przyglądał się w zamyśleniu arabeskom białoniebieskiego dymu z papierosa. Jak w kinematografie mignęła mu klisza pamięci. Wczorajszego wieczoru skończył pracę, jak zawsze w niedzielę, parę minut po dziesiątej. Odesłał chłopaków do domu, przeliczył dzienny utarg, włączył alarm i zamknął kratę w drzwiach do pizzerii. Na parkingu czekał Warren.

- Dałby boss z pięć dych zaliczki, bo żem się spłukał do centa.
- Nie wytrzymasz do czwartku?
- No nie wyrobię... Nie chciałem tak przy wszystkich...

Spojrzał na tego chłopca jak ojciec. Rozczochrane włosy do ramion, pięć kolczyków w każdym uchu, po jednym za każdą zaliczoną dziewczęcę, chudy jak szczapa drewna. Dopiero co obchodził osiemnastkę, ale o życiu wiedział więcej niż niejeden czterdziestolatek. Mądrość ulicy. Wychował się sam. Rodzice rozeszli się, gdy miał ledwie trzynaście lat. Zamieszkał z kumplami, rzucił szkołę; na życie zarabiał sprzedając gazety na skrzyżowaniach. Owszem, pracowity jest, nikt tak nie skręci ciasta jak on. Tylko że gdy wypije, dostaje małego rozumu; w sądzie będzie miał sprawę o pobicie; co tu się dziwić, jak każdy gówniarz, gdy przeberze miarę.

- Nie mów nikomu - wygrzebał z kieszeni banknot pięćdziesięciodolarowy.
- Dzięki, szefie, dzięki!
- Nie przepij wszystkiego od razu. Pij w domu, nie w knajpie. Na dłużej ci starczy.

Warren schwycił banknot jak gałgan szmaty i pobiegł na skróty przez park, i zaraz zniknął w ciemności. Za parkiem był pub, jeszcze otwarty, na pewno zdąży.

Tomasz wsiadł do samochodu. Droga na kemping zajmowała mu zwykle nie więcej niż dziesięć minut, lecz tym razem wszystko potoczyło się inaczej. Ruszył wzdłuż plaży szeroką, dwupasmową Pacific Highway. Ruchu nie było prawie żadnego. Ulicę rozświetlały wysokie latarnie o pomarańczowożółtym blasku. Na chodnikach nie było ludzi, tylko przed irlandzkim pubem wrzało jak w ulu, jak zawsze. Jak można chlać to słodkawe gówno? Zatrzymał się przed czerwonym światłem na skrzyżowaniu, zdjął krawat, rozpiął zanadto krępujący guzik pod szyją i czekał, słuchając spokojnej muzyki na swej ulubionej stacji Sea FM. Lubił te kawałki z lat osiemdziesiątych, zwłaszcza nocą. Pracował kiedyś, pod koniec lat osiemdziesiątych właśnie, trzy lata na nocnej zmianie, od siódmej do siódmej, czasem dłużej, sześć nocy w tygodniu. Woził puste puszkę z fabryki do browaru. Było ich dwóch kierowców, on i Bob, jak mu tam, Bob Carter, chłopak ze wsi. Każdej nocy umawiali się, kto zrobi pierwszy kurs, kto drugi. Od tego zależało, kto zrobi ostatni, a ostatni kurs był najlepszy, czasem trzeba było czekać do dziesiątej rano, a zegar liczył podwójną stawkę po dwadzieścia pięć dolarów za godzinę. Czasem nie mogli się pogodzić, bo ten miał rachunek za telefon do zapłacenia, a temu zepsuła się pralka. Rzucali monetę, sprawiedliwie. Raz padła głowa, raz ogon. Tej ostatniej nocy też rzucili. Padło na Boba, więc pojechał z

pierwszym kursem. Pojechał i już więcej nie jeździł, wylali go z pracy, ot co znaczy rzucanie monety.

Tomasz o niczym nie wiedział. Owszem, widział czasem, że Bob kradnie parę puszek z palety z odrzutu kontroli jakości. Na bramie nikt go nigdy nie sprawdzał, zresztą jak znaleźć kilka puszek w dwudziestodwukołowcu? Ale Bob zrobił się nazbyt pazerny, chciał być bogaty. Wpadł na pomysł, iżby nalać piwa do puszek od coca coli. Przywiózł tych czerwonych puszek parę tysięcy, Chorwat na rozlewni puścił je na taśmę i czekał po drugiej stronie maszyny, by wszystkie wyłapać. Ale nie wyłapał. Na paletach z żółtymi puszkami "XXXX" widać je było na sto metrów. Akurat przechodził menedżer nocnej zmiany, wezwał ochroniarzy, otworzyli parę czerwonych i było po ptakach. Wszystko utrzymali w tajemnicy. Chorwat powtykał te wyłapane puszkę do środka pustych palet, przyjechał Bob, wyładował się, cofnął pod rampę z ładunkiem powrotnym, palety wsunęły się na rolkach do środka, zamknął drzwi i ruszył do bramy. Przyjechała policja, wezwali menedżera transportu, niczego Bobowi nie udowodnili. Nazajutrz Tomasz napisał nawet oświadczenie, że tej nocy rzucili monetę, że Bob o niczym nie wiedział i równie dobrze mógł z tym kursem pojechać on, Tomasz. Ale nic nie pomogło, jeszcze tego samego dnia Boba dyscyplinarnie zwolniono.

Tomasz też długo już nie jeździł. Wygasł kontrakt na dostawy puszek. W kraju trwała recesja. Właściwie go nie zwolniono, został przeniesiony na dzienną zmianę, stracił nadgodziny i nocny dodatek, a z gołej pensji trudno było wyżyć. Wziął się wtenczas za biznes, pierwszy w życiu własny biznes. Ale co to był za biznes, te kleksy.

Gdy tak stał na skrzyżowaniu, nagle dostrzegł w oddali biegnącą w jego kierunku dziewczynę. Miała na sobie różowy letni podkoszulek, rozdarty na ramieniu z jednej strony, krótką do połowy ud, obcisłą spódniczkę i bosc stopy; buty na wysokim obcasie trzymała za paski w dłoni. Pięćdziesiąt metrów za nią pędził jakiś chłopak na długich chudych nogach, wciśniętych w ciemne dzinsy, wykrzykując co chwila, że ją zapierdoli, tę kurwę. Oboje mogli mieć nie więcej niż osiemnaście, góra dziewiętnaście lat. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna była przerażona. Wpierw zamiast twarzy widział tylko rozwianą gęstwinę loków nad wysokim czołem, lecz gdy dobiegła do samochodu, w jej czarnych oczach zobaczył nieomal śmiertelny strach. Zareagował impulsywnie. Wychylił się w kierunku drzwi pasażera i pchnął je tak gwałtownie, że uderzyły dziewczynę, która właśnie w tej chwili znalazła się przy nich. Wskoczyła do środka, ciągnąc za sobą drzwi, i pospiesznie wcisnęła blokadę zamka. Chłopak był już przed maską, lecz zdążył tylko trzasnąć pięścią w dach auta, gdy z piskiem opon ruszyło ono przez wciąż czerwone światło na skrzyżowaniu. Chłopak pozostał w tyle, dając upust swej frustracji w krzyku, rozjuszonych gestykulacji i groteskowych podskokach w miejscu na swych chudych nogach.

- Jesus Christ! - wymamrotała z australijskim akcentem, z trudem łapiąc oddech. - To wariat! To normalny wariat! Widziałeś kiedyś wariata? To jest absolutny wariat!

Wraz z jej krótkim nerwowym oddechem poczuł wypełniający wnętrze samochodu łagodny aromat wina.

- Założę się, że to twój chłopak - powiedział, przesuwając dźwignię na pozycję piątego biegu. Natychmiast ucichło wycie silnika. Wyłączył radio i na parę centymetrów uchylił szybę.

- To był mój chłopak! Rozumiesz? To był mój chłopak! - zaakcentowała czas przeszły groźnym okrzykiem.

- Jasne. Był.

- Rzuciłam go dziś rano, ale znalazł mnie i najpierw prosił, żebym wróciła, a potem pobił

jak bezdomną sukę! - mówiąc to, widocznie przypomniała sobie rozdarty podkoszulek, bo skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała je zasłonić.

- Miałaś szczęście, że akurat tam stałem. Spuściłby ci pewnie manto.

- Fuck him! - obróciła się w fotelu, chcąc sprawdzić w tylnej szybie, czy go jeszcze widać. Odjechali jednak już dość daleko.

- Dokąd cię zawieźć? - zapytał zapalając papierosa.

- Nie poczęstujesz mnie?

Podał jej paczkę i raz jeszcze wcisnął zapalniczkę w gniazdo. Wskoczyła po paru chwilach. Dziewczyna ostrożnie przytknęła żar do papierosa. Drżała jej dłoń, więc chwilę trwało, zanim wciągnęła dym w płuca. Tomasz dostrzegł kątem oka, jak uniosły się jej piersi.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał ponownie.

- Do dzisiaj mieszkałam z nim. Właściwie nie mam teraz gdzie wrócić.

- Masz jakąś rodzinę?

- Pochodzę z Dubbo. Na Gold Coast mieszkam od paru miesięcy.

- Do Dubbo cię nie zawiozę, ale przecież musisz mieć tutaj przyjaciół, którzy dadzą ci nocleg.

Nie odpowiedziała. Przyssała się do papierosa jak narkoman na głodzie. Kłęby dymu wplotły się w jej czuprynę. Miała wyspiarską urodę, grube, pełne usta, szeroki, nieco spłaszczony nos, jaki spotyka się u Polinezyjczyków na Bora Bora.

- Jesteś Australijką?

- Rodzice pochodzą z Fidzi, ale urodziłam się w Dubbo.

- Więc jesteś Melanezyjką.

- Wszystkie jedno. A ty? Masz jakiś dziwny akcent. Nigdy takiego nie słyszałam.

- Jestem Polakiem.

Zaśmiała się niespodziewanie, lecz zaraz umilkła.

- Wobec tego ratunek zawdzięczam Polakowi - powiedziała po chwili.

- Powiesz mi wreszcie, dokąd cię zawieźć?

- Johnny zna wszystkich moich znajomych. Odnajdzie mnie, gdziekolwiek będę...

- U mnie nie możesz zostać. Wiesz, nie znamy się wcale.

- Nie wierzysz mi? Boisz się, że cię okradnę?

- Nie o to chodzi - zmieszał się na moment. - Nie mam niczego, co przedstawiałoby jakąś materialną wartość.

- Masz ładny samochód, elegancki jak mercedes.

- Po prostu nie mogę cię zabrać.

- Rozumiem, zona... Więc dobrze, zawieź mnie do Robiny, mam tam przyjaciółkę.

Przeczekam jakoś do rana i jutro pomyślę co dalej.

Skierowali się na zachód miasta, rozmawiając o tym i owym, a właściwie łątając dziury w ciągle rwącym się dialogu na temat ich obecnego życia i przeszłości. Dziewczyna była bezrobotną fryzjerką. Tak naprawdę uczyła się dopiero zawodu, lecz w ostatnim zakładzie, w którym pracowała trzy dni w tygodniu, boss najpierw dostawiał się do niej, a potem bez powodu zwolnił. Wraz z Johnnym otrzymywali zasiłek dla bezrobotnych; na jednoizbowe mieszkanie i żywność jakoś wystarczało, tylko że Johnny strasznie dużo przepijał. A jak się upijał, to ją bił, że już dłużej nie mogła tej udręki wytrzymać. Choć naprawdę kocha go, musiała odejść. Musiała.

Z nagłą rozpląkała się, jak gdyby ustąpił stres tego uciążliwego wieczoru, tych przepychanek z Johnnym. Podał jej pudełko chusteczek higienicznych. Ulice były puste. W aucie panował zniewalający spokój, obezwładniający spokój. Dziewczyna mówiła coraz ciszej i wolniej. W końcu zupełnie zamilkła, oddając się jakimś samotnym myśłom.

- Dojeżdżamy do Robiny - oznajmił po paru minutach. - Pamiętasz adres tej przyjaciółki?
- Adresu nie znam, ale poprowadzę cię.

Krążąc uśpionymi, martwymi ulicami pośród ciemnych parków i ogrodów Robiny, dotarli na miejsce. Poprosiła, aby zatrzymał się przed zamkniętą bramą do nowoczesnego, utrzymanego w kalifornijskim stylu kompleksu mieszkaniowego Buena Vista. Wyłączył silnik i zgasił światła. Siedzieli chwilę w głuchej ciszy, po czym dziewczyna zwróciła się twarzą do niego i zapytała:

- Właściwie dlaczego mi pomogłeś?

Uśmiechnął się dobrotliwie, gdyż w jej oczach dostrzegł niewyrażone zdumienie.

- Pomogłem tobie, ty pomóż komuś innemu. Tak powinien wyglądać świat, nie uważasz?

- Dziwny jesteś.

- Idź już. Zaczekam na ciebie parę minut. Na wypadek gdyby nikogo nie było w domu.

- Zaczekaj. Wrócę tak czy inaczej.

Wysiadła, lecz nim trzasnęła drzwiami, podziękowała mu uroczym uśmiechem.

Odpowiedział skinieniem głowy. Podbiegła do wysokiej bramy, przerzuciła buty na drugą stronę i jak żołnierz z oddziałów desantowych przeskoczyła do środka i znikła na dziedzińcu. Włączył radio i zapalił papierosa, wpatrując się w miejsce za kępą krzaków przy bramie. Minęło mniej niż pięć minut, gdy wróciła. Znowu przerzuciła buty i ciało przez bramę i podeszła do drzwi auta od jego strony. Odsunął szerzej szybę. W jej oczach ujrzał zakłopotanie i domyślił się:

- Nie ma nikogo?

- Nie powiedziałam ci prawdy. Tutaj mieszka moja matka... Rozmyślałam się... Nie chcę do niej wrócić.

- Twoja sprawa. Ale dokądś musisz pójść.

- Sama nie wiem. Może przeczekam w tym parku - wskazała ciemnicę palm i eukaliptusów naprzeciwko.

- Nie bądź głupia. Nad ranem zrobi się zimno. Nie możesz tu zostać.

- Może mogłabym... Może mogłabym zatrzymać się u twoich znajomych?

- To wykluczone. Pomyśl raczej o policji...

- Nie! - wyrwał się jej cichy okrzyk. - Odwiozą mnie do matki.

- Niekoniecznie. Znajdą ci jakiś lokal zastępczy. Schronisko dla bezdomnych. Coś takiego.

- Jestem notowana. Od policji trzymam się z daleka.

Tomasz milczał chwilę, po czym powiedział:

- W takim razie dobrze, zabiorę cię, ale pamiętaj, jedna noc, nie dłużej.

Uśmiechnęła się ucieszona jak dziecko, które dopięło swego. Obiegła samochód i wskoczyła do środka. Odjechali na kemping w Biggera Waters.

Zdusił niedopałek papierosa w popielniczce, wysiadł z auta i wolnym krokiem udał się do budynku toalety. Papugi szalały na drzewach, zrywając się co chwila ogromną chmarą do lotu, po czym przysiadły na najbliższych konarach, by tak powtarzać swe codzienne harce w nieskończoność. Aż przyjdzie czas nocnych nietoperzy.

Bujał się nad pisuarem jak pijak, uważając, by nie zabrudzić ręcznika. Życie sprowadzone do czynności fizjologicznych, pomyślał z odrazą. I do tego ten piekielny ból głowy. Ta siksa

w łóżku, która mogła go przecież zarazić jakimś świństwem. Kompletny debil. Skończony debil.

- Good morning, Tom - usłyszał głos obok siebie. W przeciwległym rogu długiego na całą ścianę pisuaru z nierdzewnej blachy ustawił się Malachy, pięćdziesięcioletni Nowozelandczyk, który mieszkał na kempingu na stałe. Oczywiście rozwiedziony, tak jak na kempingu rozwiedzeni byli prawie wszyscy. Dorosły mężczyzna z włosami jak pierze u pisklaka, o twarzy noworodka, której nie da się ot tak, po prostu szanować. Niektórych mężczyzn szanuje się już za sam wygląd, ale tacy jak Malachy muszą się podwójnie ciężko napracować.

- Good morning - odpowiedział.

- Przygruchałeś sobie papużkę, co? - Malachy zaśmiał się rubasznie. - Słysząc ją było do rana. Musi z niej być niezła sztuka. Kurwa jego mać, jak mi się chce kobiety.

Dziwak, pomyślał Tomasz. Mieszka samotnie, z nikim już nie utrzymuje kontaktów, udaje zapracowanego, sprzedając na internecie magiczną, rzekomo odmładzającą formułę ziołową GH-4. Ilekroć Tomasz wchodził do jego przyczepy, Malachy pośpiesznie siadał przed komputerem, okładał się papierami, broszurami, ulotkami sławiącymi cudowność GH-4. Na stoliku leżały wizytówki własnej roboty, obcięte niezdarnie nożyczkami: „Menedżer Generalny na Australię i Nową Zelandię”.

- Hej, Thomas! - powiedział kiedyś. - Takiej okazji biznesu nie wolno ci przeoczyć. Zrobię cię menedżerem na Polskę albo jak chcesz, na całą Europę! Dostaniesz piętnaście procent prowizji; butelka GH-4 kosztuje osiemdziesiąt dolarów, kup jedną na próbę, zarobisz fortunę.

Innym razem zaczepił go właśnie w toalecie:

- Odmłodzi się!

Jeszcze innym razem nalegał:

- Hej, Thomas! Powiedz mi wreszcie, czy chcesz być menedżerem na Amerykę Południową. Menedżera na Europę już zatrudniłem. Za godzinę odbędzie telekonferencję z Nową Zelandią, muszę wiedzieć, czy jesteś ze mną, czy nie.

Tomasz pomyślał wtenczas o katalogu Intervacu. Był to spis około dziesięciu tysięcy osób na świecie, pragnących na czas wakacji zamienić się domami. Ty korzystasz z mojego domu, podczas gdy ja spędzam urlop w twoim. Odszukał Polskę. Tylko jedno ogłoszenie: jakaś kobieta z Radomia, nazwisko, adres, krótki opis domu... W rubryce „zawód” podała: menedżer generalny Intervac Polska. Nawet nie dyrektor, lecz menedżer. Pokazał to ogłoszenie Dorocie. Najpierw śmiali się jak nienormalni, a potem ogarnęło ich uczucie wstydu; przecież dziesięć tysięcy osób na świecie musiało zobaczyć to samo.

Dorota, Dorota... Tatiana... Malachy często wspominał Tatianę. Poznał ją dwanaście lat temu w Mińsku na Białorusi, gdzie spędzał swe samotne europejskie wakacje.

- Ty wiesz, w tym czasie pięćset dolarów rocznie to była w Mińsku fortuna. Ja miałem pięć tysięcy. Kupiłem jej rodzicom lodówkę. Kupiłem zamrażarkę, której nigdy wcześniej nie widzieli na oczy. Kupiłem im mieszkanie w bloku... za sto pięćdziesiąt dolarów... - zaśmiał się na to wspomnienie. - Kupiłem sobie radziecki motocykl z boczną przyczepką. Potem wzięliśmy ślub i pojechaliśmy do Nowej Zelandii. Za moje pieniądze pojechała na wakacje do Mińska, raz była pół roku, raz rok. Potem spotkała lepszego ode mnie i wystąpiła o rozwód. Nigdy nie pracowała, ale pomimo to sąd przyznał jej połowę domu. Wyobrażasz

sobie, musiałem od niej odkupić połowę mojego własnego domu. Chciałem zacząć życie od nowa, musiałem zmienić otoczenie, więc wyemigrowałem do Australii.

Tomasz pomyślał o swoim własnym przegranym życiu. Za dziesięć lat upodobni się do Malachy'ego, którego także pokarało życie. Bał się identycznego losu. Raz, gdy mimochodem zajrzał do jego przedziału sypialnego, w łóżku, pod kocem naciągniętym aż po szyję, leżała nadmuchana gumowa lala, z ustami jak jajko.

- Proszę cię, nie mów o tym nikomu! - Malachy naciągnął koc na głowę lali; w nogach wyłonił się plik magazynów pornograficznych.

- Nie przejmuj się, nie powiem, wszyscy mamy jakieś swoje sekretne sprawy - Tomasz bał się, że tak samo zdziwaczeje w tym mieście, w tej samotności, w tym bezsensie, w tym pijaństwie. Dla zachowania zdrowia psychicznego trzeba spełnić co najmniej pięć warunków: myśleć pozytywnie, lubić siebie, wyznaczać realistyczne cele, dyskutować o codziennych problemach, utrzymywać równowagę pomiędzy obowiązkami a przyjemnościami. Tomasz od lat nie spełniał żadnego.

Gdy wrócił do przyczepy, dziewczyna ciągle spała, odwrócona teraz na brzuchu. Poszedł do kuchni i zaparzył sobie kawę, po czym usiadł przy biurku w drugim końcu przyczepy. Depresja. Wyobcowanie. Samotność. Życie na pograniczu. Bezdromność. Rozpaczliwe szukanie choćby najlichszego sensu, odkąd stracił Dorotę i Nataszkę. Odkąd jedną nogą był już na drugiej stronie. Za parę lat zacznie się z wolna pakować do swej ostatniej podróży. Przegrał życie. Jakże innym był kiedyś człowiekiem. Jakże proste zdawało się życie... Jakże zmienił się od tego czasu. Wtenczas był jeszcze młodym, pełnym optymizmu i sił witalnych człowiekiem. Miał przyszłość, miał dom, miał plany, miał tożsamość.

Tylko że Dorotę dręczyła samotność. Ci twoi przyjaciele od siedmiu boleści, krzyczała. Od picia wódki i gadania o niczym do białego rana. Przyzwyczaisz się, Dorotko. My wszyscy imigranci przechodzimy to samo. Nie obejrzysz się, jak pęknie pięć lat, potem będzie ci lżej. Zasywilujesz się, poszukasz sobie znajomych, korzenie same ci wyrosną, czas wygoi tęsknotę. Nie chcę, wrócimy, proszę, do Polski. Błagam cię, ja tego dłużej nie wytrzymam... Z czym wrócimy? Kleksy sprzedają się słabo, widzisz, że nie daję rady. Wiem, że pieniądze to nie wszystko, ale żyć trzeba wszędzie...

Oddałby teraz wszystko, by podnieść się z dna, by znów stanąć twardo na nogach, jak stał wtedy, o własnych siłach... Pięć warunków zdrowia psychicznego.

Wtem odezwała się melodia „Waltzing Matilda” na komórce leżącej na magnetowidzie w przedziale sypialnym. Pospieszył w tym kierunku. Dziewczyna poruszyła się. Tomasz sięgnął po telefon.

- Cześć, Nello... Wszystko w porządku... Tak, zabrałem kasę... Niewiele... Trochę ponad osiemset dolarów... Wiem, wiem, niedziela... Tak, wpłacę na konto, gdy tylko otworzą banki... Cześć - wyłączył telefon.

- Kto to był? - zapytała dziewczyna, ziewając przeciągle i odwracając się na bok. Jej małe piersi ułożyły się w dwa półksiężycy.

Zaskoczyło go to wścibskie pytanie, lecz odpowiedział spokojnie:

- Mój szef. Chce spotkać się w jakiejś sprawie.

- Chodź tutaj - wyciągnęła przed siebie obie ręce, a gdy położył się na niej, splotła palce na jego plecach. Poczul jej rozgrzane snem ciało. - Chciałam ci podziękować - szepnęła przysuwając usta do jego ucha. - Myślę, że i tobie było przyjemnie.

Poczuł, jak jej dłoń wędruje w dół, jak pokonuje supeł i wsuwa się pod ręcznik.
- Wcale sympatyczny z niego rozrabiaka - jej ciałem wstrząsnął krótki śmiech. -
Dziewczyny zawsze mówiły, że starsi faceci są inni... Nie tak samolubni jak młodzi. W
każdym razie nie jak Johnny.

- Nie jestem taki stary - powiedział cicho i pomyślał, że za chwilę znów opęta go
szaleństwo.

- Ile właściwie masz lat?

- Trzydzieści pięć - skłamał. Nie odezwała się. Po chwili zaczęli się całować, lecz zanim
zatracili poczucie rzeczywistości, dziewczyna powiedziała:

- Szczuć mi się chce.

Te słowa podziały na niego jak kubeł zimnej wody. Wytłumaczył jej, jak dojść do toalety.
Ubrała się w swój podkoszulek i spódniczkę i wyszła z przyczepy. Chwilę leżał na łóżku,
wpatrując się w sufit, potem odszukał na podłodze swoje spodnie. Jedna nogawka była
wywrócona na wewnętrzną stronę; widać wczoraj rozbierał się w pośpiechu. Wsunął rękę
do kieszeni i wy dobył z niej rolkę banknotów, spiętą cienką gumką. Zsunął gumkę i
przeliczył pieniądze - rachunek zgadzał się. Ukrył zwitek w szafce w kuchni, po czym
wrócił do przedziału sypialnego i wyjął z szuflady przybory higieniczne. Ponownie
obwiązał się ręcznikiem w pasie i wyszedł, zanim dziewczyna wróciła.

Golenie i kąpiel pod prysznicem zajęły mu kilka minut, podczas których myślał, a
właściwie próbował przypomnieć sobie zdarzenia ubiegłej nocy. Nie pamiętał nawet imienia
dziewczyny, było ono jakieś dziwne, na pewno obce; nigdy wcześniej nie spotkał się z
podobnie brzmiącym. Nie pamiętał także, czy zanim zaczęli się kochać, zapytał ją o wiek.
Wygląda młodo... Co za debil! Co za bezmyślność! Nie powinien był proponować tej
whisky. Upiła się szybko, on także wkrótce przestał myśleć. A potem nie było już odwrotu.
Pragnęli siebie nawzajem. Rozum w penisie. Musi czym prędzej pozbyć się tej dziewczyny.
Czy można być zainfekowanym od pierwszego razu?

Wyszedł z toalety i ruszył w kierunku przyczepy. Po drodze minął Rene, menedżera
kempingu, który zmiatał ze ścieżki opadłe liście.

- Cześć, Thomas - usłyszał znienacka, choć dałby wiele, by przejść niezauważony. - Piękny
mamy dzień. Wyglądasz jak zdjęty z krzyża - menedżer uśmiechnął się tajemniczo.

Odpowiedział mu fałszywym grymasem ust. Rene ciągnął: - Masz gościa... Właściwie
powinienem pobrać dodatkową opłatę... pięć dwadzieścia za dobę. Ale chyba nie zamierzasz
dzielić... z nią... przyczepy dłużej, nieprawda?

Zamiast odpowiedzieć przyspieszył kroku. Kiedy odszedł już na kilka metrów, usłyszał
jeszcze:

- Bądź ostrożny, Thomas. Bądź ostrożny.

Kiedy wszedł do przyczepy, dziewczyna, siedząc naga na łóżku, oglądała telewizję. Gdy
stał obok, powiedział:

- Jestem dzisiaj zajęty... Musisz odejść. Dokąd cię odwieźć?

Uniosła głowę i dostrzegł w jej dużych pięknych oczach, że domyśliła się jego nagłej
wrogości. W jednej chwili sama stała się agresywna, jak gdyby atakiem chciała uprzedzić
atak.

- Zaliczyłeś jeszcze jedną, możesz polować dalej. Kogo dzisiaj ściągniesz na chatę?

- Posłuchaj... - próbował nadać głosowi przyjazny ton. - Potrzebowałeś noclegu... To, co
stało się potem, nie powinno było się zdarzyć. Przepraszam. Oboje byliśmy
nieodpowiedzialni.

- Nieodpowiedzialni? Mnie nie o to chodzi. Oboje jesteśmy dorośli! Pokazać ci papiery?
Chodzi mi o to, że wykorzystałeś mnie, a teraz udajesz, że nic się nie stało. Otóż stało się!

Otóż stało się! Przez ciebie zdradziłam Johnny'ego! Johnny cię zabije, jak się dowie!

- Nie bądź śmieszna.

- Ja go kocham! Dlaczego zabrałeś mnie od niego? - niespodzianie wybuchnęła szlochem, jak w mydlanej operze zakrywając twarz dłońmi.

Poczuł, że traci pewność siebie. Wzrastała w nim złość i litość. Brakowało mu tylko hysterii tej smarkuli. Przecież jej nie zgwałcił! Chciała tego!

- Umówiliśmy się wczoraj tylko na jedną noc... - nie dokończył, gdyż zawrzała jeszcze bardziej:

- Wszyscy jesteście tacy sami! Wszyscy faceci! Ojciec, Johnny, ty... Już nie wiem, co mam zrobić...

Próbował załagodzić sprawę:

- Zjedźmy śniadanie i zastanówmy się spokojnie.

- Pierdołę twoje śniadanie! Rzygać mi się chce! Zatrulałam się tą twoją gorzałą!

- Uspokój się! - krzyknął wyprowadzony z równowagi.

- Ty się uspokój!

- Shut up! - wybuchł groźnie, po czym zdawszy sobie sprawę z absurdalności tej kłótni zamilkł, starając się zapanować nad nerwami. Usiadł obok i objął ją ramieniem. - I tak nie mam nic do jedzenia. Mogę ci zrobić zupę pieczarkową z paczki. Chcesz?

Spojrzała na niego zaskoczona tą nagłą zmianą tonu.

- Głupia sprawa... - powiedział i zamilkł. - Głupia sprawa, ale nie pamiętam twojego imienia...

- Hasna. Mam na imię Hasna. Wiesz, że ja także nie pamiętam, jak ty się nazywałeś... - zanosła się dychawicznym chichotem. Tomasz zastanowiło jej wyraźnie widoczne emocjonalne rozchwianie. Potem pomyślał o swoim paskudnym wahadle.

- Ubierz się - szepnął. - Czekaj, dam ci coś swojego - otworzył szafę i zdjął z wieszaka białą służbową koszulę. Wsunęła się w nią i zapięła guziki.

Zamiast zupy podał jej papierosa. Zaczęli rozmawiać spokojniejszym tonem. Wkrótce rozmowa przemieniła się w monolog Hasny. Z jej słów wynikało, że miała niespełna dwiętnaście lat, w co Tomasz nie uwierzył, i przed dwoma miesiącami uciekła z domu w Dubbo. Co tam uciekła, wyprowadziła się po prostu, gdyż w tej dziurze nie dało się już dłużej żyć. Nie chciała skończyć tak jak jej matka, która zaszła w ciążę z pijakiem - rok po roku, sześć razy. Nie chciała skończyć tak jak jej najstarsza siostra, która w wieku siedemnastu lat wyszła za męża, nie dość że za hydraulika, to jeszcze na jedną nogę kulawego. Nie chciała skończyć tak jak te zniszczone kobiety w Dubbo Worker's Club, które sprzedawały się za butelkę whisky lub karton piwa. Od najmłodszych lat życia Hasna zawsze czuła się inna.

Kto zresztą wie, co czyni człowieka odmiennym. Czasem zastanawiała się, skąd wzięła się w niej ta inność, dlaczego tak trudno było jej porozumieć się z najbliższymi? Dziewczęta z high school marzyły o tym, by zostać fryzjerkami, kosmetyczkami, ale ile może być w Dubbo fryzjerek i kosmetyczek? Wodziły wzrokiem za Billem, najmłodszym w Dubbo i z całą pewnością najprzystojniejszym listonoszem, marząc potajemnie, by się w nich zakochał. Ale w ilu dziewczętach może zakochać się jeden listonosz, nawet tak szalenie przystojny jak Bill?

Koleżanki rozczytywały się w kolorowych magazynach, śledziły miłosne perypetie swych idolek, ich najnowsze kreacje, podróże po świecie, lecz same kochały się z miejscowymi chłopakami na tylnych kanapach ich rozklekotanych, śmierdzących benzyną samochodów. Ilekroć mówiła im, że są głupie i nie mają za grosz ambicji, złościły się i obmawiały ją za plecami.

Również matka, zaharowana na śmierć, czterdziestoletnia kobieta bez chęci do życia i planów na przyszłość, usiłowała wepchnąć Hasnę w ten koszmarny kierat szarzyzny gospodyni domowej, w jaki wepchnęła i siebie. Mała bezmyślna kobieta, która ulegała ojcu, spełniała jego wszystkie zachcianki, prala mu skarpety i podawała kolejne puszki piwa, gdy całymi dniami siedział rozwalony jak truteń na sofie, oglądając rugby i golf na kablówce. Nigdy, nigdy nie zostanie na tym parszywym dniu - powzięła ten zamiar bardzo wcześnie. I rzeczywiście, któregoś dnia o świcie spakowała torbę, wyszła na szosę i zatrzymała ciężarówkę jadącą na wybrzeże. Nie pożegnała się nawet z Jasonem, gdyż bała się, że albo zechce on pojechać z nią razem, czego by nie zniosła, bo Jason był takim samym prymitywem jak i inni chłopacy, albo najpewniej wypapla wszystko w szkole i ktoś nadgorliwy zawiadomi policję.

Kierowca, choć z wielkiego miasta na południu, nie różnił się ani o jotę od mężczyzn w Dubbo. W dziurawym, opasionym na brzuchu podkoszulku, w ciasnych szortach i buciorach ze stalowymi nosami, podrywał ją od pierwszej chwili i opowiadał wulgarne dowcipy. Nie bała się go. Od paru lat, od czasu, gdy ojciec złamał nos matce, trenowała kick-boxing w Dubbo Worker's Club. Niejednemu wyszły na wierzch oczy, gdy celnie wyprowadziła cios w genitalia. Tego wieprza mogłaby owinać wokół dragu, gdyby wyciągnął po nią łapę.

Tomasz słuchając pomyślał, że dziewczyna kłamie, gdyż nie zgadzały się niektóre szczegóły, zwłaszcza jej wiek oraz to, iż jej matka mieszka w Robinie, a nie w Dubbo, choć i tego nie mógł być pewny. Milczał więc, bo przecież ludzie plotą często trzy po trzy. Ona ciągnęła swą historię jak spowiedź.

Kiedy wysiadła z ciężarówki w samym środku Gold Coast, poczuła się wolna jak nigdy dotąd. Chodnikiem śpieszył tłum ludzi zajętych swoimi sprawami: mężczyźni w biznesowych garniturach, kobiety w garsonkach i butach na wysokim obcasie, wycieczki małych, skośnookich ludzików, których dotychczas widziała tylko w telewizji, poobwieszanych kamerami wideo i foliowymi reklamówkami z drogich sklepów. Tak, sklepy, sklepy, restauracje, hotele, sportowe samochody, motocykle ninja, o których całymi godzinami gadali chłopacy w Dubbo. Tutaj naprawdę zaczynało się jej życie. Zatrzymała się przed wysokim hotelem i patrząc w górę omal nie upadła, gdyż torba na ramieniu przeciążyła równowagę ciała. Przed drzwiami stał elegancki portier i spoglądał na nią, jak gdyby nigdy nie widział dziewczyny z torbą na ramieniu. Przeszła obok, patrząc prosto przed siebie i modląc się, iżby nie popełnić jakiejś gafy. Weszła do środka i gwar ulicy pozostał na zewnątrz. Zbliżyła się do marmurowego kontuaru recepcji i zapytała o cenę.

- Ile? Ile? - musiała się chyba przesłyszeć.

- Dwieście trzydzieści - powtórzył wysoki przystojniaczek.

- Za tydzień?

Uśmiechnął się wyrozumiale. Uśmiechnęła się i ona, starając się nadać twarzy znaczenia podobnej wyrozumiałości, i bez słowa odeszła. Miała wszystkiego trzysta dolarów i złote kolczyki, które dostała od babci na czternaste urodziny.

Chodziła od hotelu do hotelu, aż poczuła głód i zmęczenie. Usiadła przy stoliku na tarasie jakiejś restauracji i zamówiła z karty danie, które widniało na kolorowej fotografii. Po paru minutach kelner postawił przed nią owalny talerz, wypełniony po krawędzie sałatką z krabów, szynką, rozciętymi na pół jajkami w majonezie, plasterkami pomarańczy, avocado, paw-paw i serem w kilku gatunkach.

- Życzę smacznego - uśmiechnął się sympatycznie.

- Wzajemnie - odpowiedziała i w tej samej chwili ugryzła się w język, czując, że krew napływa jej do twarzy.

- Rzeczywiście, jestem głodny - kelner zaczął prasować dłonią obrus na stoliku. - Ale ruch dzisiaj taki, że nie mam wolnej chwili.

Spojrzała na niego, nie wiedząc co odpowiedzieć.

- Jesteś na wakacjach?

Nie odpowiedziała. Kelner cofnął się i już miał odejść.

- Owszem - rzuciła szybko. Zatrzymał się. - To znaczy niezupełnie. To znaczy nie jestem.

- To znaczy nie masz gdzie się podziać?

- Mam. Przyjechałam do znajomych.

- Jestem Jack - wyciągnął do niej dłoń. Zawahała się chwilę. - Pozwól mi zgadnąć...

Uciekłaś z domu.

- Nie twoja sprawa! - zdenerwowała się zaskoczona bystrością Jacka, lecz podała mu rękę.

- Ostra jesteś - uśmiechnął się z jakimś chytrym zadowoleniem.

Nie miała ochoty na dalszą rozmowę, lecz może dowie się czegoś o miejscowych warunkach, gdzie znaleźć tani nocleg, pracę, choćby od zaraz?

- Możesz zatrzymać się u mnie - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - O pracę na razie się nie marw. Wystarczy, że ja pracuję.

- Cham - odburknęła.

- Jak wolisz - odwrócił się i odszedł.

Natychmiast pożałowała swej oschłości. Zawsze żałowała swej oschłości. Choćby nie wiadomo jak bardzo starała się być miłą, raniła ludzi, tak jak ludzie ranił ją. Z natury była nieco sentymentalna, ot niepraktyczna romantyczka kochająca zachody słońca nad Tamizą, jakie widziała na fotografiach, jesienne liście w nowojorskim Central Parku, i jak każdy wrażliwy człowiek, nierzadko zadawała ból, zanim jej zadano. Lecz może Jack był inny? Może była niesprawiedliwa? Może w tym wielkim mieście rządzą inne obyczaje niż w Dubbo?

Zgnębiona swym zachowaniem, zajęła się nabieraniem na widelec krabowej sałatki. W międzyczasie Jack przyniósł rachunek i milcząco położył go na talerzyku. Spodziewała się wysokiej ceny, lecz kwota okazała się zadziwiająco jak na tego rodzaju restaurację przystępna. Dokończywszy posiłku zapłaciła uparcie milczącemu Jackowi, wyszła na ulicę i właśnie miała zatopić się w tłumie przechodniów, kiedy usłyszała jego głos:

- To na wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy.

Wzięła do ręki kartonik, na którym widniał niedbale zapisany numer telefonu. Odwróciła się na pięcie i poszła.

„Pozwól, że zgadnę... Uciekłaś z domu” - wciąż powracały słowa Jacka, gdy coraz bardziej zrezygnowana szukała do późnego wieczora taniego hotelu. Ilekroć ulicą przemknął policyjny radiowóz, zamierało w niej serce; ilekroć zaczepiali ją starsi chłopcy i mężczyźni, przyjmowała swą wojowniczą postawę twardej dziewczyny z Dubbo Worker's Club.

Wreszcie wynajęła pokój w motelu, płacąc jedną czwartą pozostałych pieniędzy.

Tomasz coraz bardziej utwierdzał się w swym postanowieniu.

Do Queen's Parku trafiła następnego dnia. Ośmiopiętrowy Queen's Park był kiedyś wcale okazałym, jeśli nie ekskluzywnym hotelem, lecz posunął się w latach i podupadł. Jego właściciel zestarzał się wraz z budynkiem i nie miał już tej werwy, z jaką hotel budował i zarządzał nim w pierwszych latach świetności. W konsekwencji zaprzestał on wszelkich renowacji i wymiany sprzętów, zwolnił zbędny personel, pozostawiając jedynie na posadach

recepjonistkę, która zamykała kratę w biurze o piątej, i dwoje dochodzących na wezwanie subkontraktorów: sprzątaczkę i elektryka.

Gdy więc zepsuła się winda, zacięły rewolwerowe drzwi do głównego hallu czy też ktoś nieostrożny wypchnął z okna szybę, trwało czasem pół dnia, zanim uszkodzenie naprawiono. Wkrótce też i czynsz stał się najniższy w mieście, nie tylko w branży hotelowej, lecz również był porównywalny z cenami jednosypialniowych mieszkań w agencjach wynajmu nieruchomości. Wreszcie na ścianie budynku pojawił się wysoki na dwa piętra transparent: „Ceny od 125 dolarów tygodniowo. Nie pobieramy kaucji. Nie sprawdzamy przeszłości.”

Według słów Hasny, tkwił w tym napisie pewien eufemizm, który polegał na tym, że wręcz zachęcano tak zwanych ludzi z przeszłością do osiedlenia się w hotelu na stałe. Stąd też hotel zaczął służyć w zasadzie nie przyjezdnym, choć także, zwłaszcza w dniach dla miasta ważnych, gdy kilka razy w roku odbywały się rozmaite festyny lub gdy w grudniu i styczniu napływała powódź stęsknionych słońca i morza letników - lecz służył rodzimym mieszkańcom, którzy z różnych powodów nie mieli własnych domów i mieszkań, a wynajmując stałego lokalu nie chcieli lub nie mogli. Wielu nie posiadało wymaganej kwoty na kaucję, równej czterotygodniowemu czynszowi, albo ich nazwiska widniały na czarnej liście lokatorów-dłużników, albo też ukrywali się przed kimś, a w recepcji można było podać dowolne nazwisko.

Byli to przeważnie samotni, rozwiedzeni mężczyźni, którzy gromadzili się w jednoizbowych bachelorkach po dwóch lub trzech; często byli to alkoholicy lub narkomani, zwykle bezrobotni, dorabiający co najwyżej na czarno do państwowego, wypłacanego z perfekcyjną dokładnością co dwa tygodnie zasiłku. Były to samotne, rozwiedzione kobiety, z czeredą umorusanych dzieci, na których wyżywienie i potrzeby łożyło państwo - dzieci mało do siebie podobnych, gdyż każde miało zazwyczaj innego ojca. Były to przypadkowo i raczej na krótko dobrane pary kochanków, była to wreszcie młodzież powyżej szesnastego roku życia, choć czasem zdarzali się młodsi, szczególnie dziewczęta - lolity o płaskich piersiach, w opuszczonych na biodrach, obcisłych dżinsach, spod których wyłaniały się białe majtki w różowe misie - zbuntowana młodzież, którą interesował się mało kto.

Hasna zamilkła na chwilę, jakby zgubiła wątek, po czym przyjęła od Tomasza kolejnego papierosa i opowiadała dalej.

W ten sposób hotel szybko zyskał odpowiednią reputację i z miasta poczęli się schodzić interesanci. Można było kupić tutaj bimber lub tytoń na wagę, owinięty w półkilogramowych pakietach płachtą starej gazety, albo szczyptę haszyszu, speed, torebkę trawki, albo też rozliczne sprzęty gospodarstwa domowego, skradzione akurat w pobliskich dzielnicach.

Siłą rzeczy częstymi gośćmi byli w hotelu także policjanci, bo a to trzeba było kogoś aresztować, a to odwieźć nieletnich uciekinierów do domu, a to kogoś eksmitować, gdyż spóźnił się on z płatnością czynszu albo częściej - pieniądze przepił; to znów pijany sponiewierał kochankę; a to sąsiadowi włamał się do bachelorki sąsiad i ukradł coś, co w tej powszechnej nędzy mogło jeszcze przedstawiać jakąś materialną wartość.

Jednakże Hasna była inna. Zamieszkała w bachelorce na czwartym piętrze, z widokiem z balkonu na zatokę, półwysep i otwarte morze. Na wyższych piętrach, zwłaszcza w segmentach od strony wody, zatrzymywali się na ogół tylko turyści, podczas gdy miejscowi rezydowali niżej. Ceny rosły wraz z wysokością, jednak Hasnę stać było na to przytulne

mieszkanko, a nawet marzyła o tym, by przeprowadzić się na ostatnie piętro. W przeciwieństwie do wielu stałych mieszkańców i poniekórych turystów nie sprawiała menedżerstwu problemów i właściwie nie bardzo pasowała do tego miejsca. Bachelorka była ciasnawa, lecz przyjemna. Składała się na nią mała narożna kuchenka, przedpokoik, łazienka i pokój sypialny. Całe wyposażenie ograniczało się do szerokiego łóżka, stolika o szklanym, wyszczerbionym na krawędziach blacie, fotelika z wklęsłym gąbczastym siedzeniem, nocnego stolika z zepsutym radiem oraz, dzięki Bogu, czynnego telewizora.

Za to widok z balkonu za szklanymi, rozsuwanymi drzwiami zapierał jej oddech w piersiach. Hasna nigdy wcześniej nie widziała morza, więc podziwiała półpanoramę wybrzeża i wieżowców nad samą plażą, we wschodniej części miasta; rano - jak słońce wynurza się z fal, i wieczorem - jak szafir wody z wolna rozplywa się w szarówce i znika w ciemności. Za dnia bujały się na spokojnej wodzie zatoki strzeliste maszty jachtów, czasem na pełnym morzu pojawiał się płynący do portu w Brisbane statek towarowy. Wieczorem i nocą odbijały się w tafli wody miliony żywych światełek wielkiego miasta.

Tuż przed hotelem biegła dwupasmowa ulica szybkiego ruchu. Była ona tak bliska, że z czwartego piętra zdawało się Haśnie, iż gdyby mocno odepchnęła się od barierki balkonu, mogłaby upaść na sam środek jezdni. Ruch na niej był faktycznie szybki. Auto pędziło za autem, kierowcy uporczywie wbijali wzrok w zderzaki poprzedzających ich samochodów; gdyby upadła, na pewno doszłoby do kraksy, rozbiłoby się pięć, sześć, może nawet siedem aut naraz. Ale też widowisko miałyby ta zgraja hotelowych dekadentów, którzy, jak już w pierwszych dniach zorientowała się Hasna, najwyraźniej czekali na jakąś sensację i gdy się taka zdarzała, kto żyw wypadł na balkon, by rozeznać się w szczegółach.

W zatoce znajdowało się też lądowisko dla czerwonego wodnego samolotu dla turystów, który startując wzburzał pienistą wstęgę fal i wzniecał hałas, od którego drżały szyby w oknach, a lądując kołysał się niebezpiecznie w powietrzu, jakby miał za chwilę runąć do wody. Hasna niecierpliwie czekała.

Dni mijały niepostrzeżenie. Do późnego popołudnia Hasna szukała pracy w pobliskim biurze pośrednictwa Armii Zbawienia, przeglądała strony z ogłoszeniami w miejscowym dzienniku i chodziła od drzwi do drzwi po fabrykach, barach, hotelach i sklepach, gotowa podjąć pracę choćby i sprzątaczką, lecz dla jakiejś przyczyny - bezowocnie. Wiezorami oglądała telewizję albo siadała na krześle na balkonie i patrzyła przed siebie. Piątego dnia wydała w supermarkecie ostatnie pięć dolarów na woreczek ziemniaków, mleko, chleb i dżem. Potem zadzwoniła do Jacka. Przyjechał pod wieczór i kochali się do północy. Nazajutrz Jack przyprowadził kolegę. To był właśnie Johnny. Kochali się we troje...

Skończywszy swą opowieść Hasna miała w oczach łzy. Był to płacz najboleśniejszy: niemy. Ani odrobiny kwilenia. Ani jednego dźwięku zalu. Tomasz nie wiedział, w jaki sposób powinien się zachować. Szukał w myślach odpowiednich słów, lecz jak zawsze w panice, nic nie przychodziło mu do głowy. Przeciągała się nieporęczna, nieprzyjemna, świdrująca w uszach cisza.

- Mogłabym pomieszkać u ciebie parę dni? Zadzwońię do Johnny'ego, porozmawiam z nim. Może go udobrucham. Ale chciałabym dać mu jakiś czas na zastanowienie.

- Ile naprawdę masz lat?

- Wkrótce skończę dziewiętnaście.

- Wkrótce, to znaczy kiedy? Za dwa-trzy lata?

- Uwierz mi lub nie, ale prawie dokładnie za dwa tygodnie. Przysięgam!

- To dlatego boisz się policji i matki?

Spojrzała na niego takim wzrokiem, że natychmiast pomyślał o twardej dziewczynie z Dubbo Worker's Club. Nie omylił się, gdyż odpowiedziała agresywnym pytaniem:

- Ty też mnie okłamałeś, nieprawda?

- Okey, okey - zniecierpliwiał się - ale umówmy się co do jednego: żadnego alkoholu...

- Dzięki - powiedziała. - Mogłabym teraz wziąć prysznic?

- Wygląda na to, że to ja ciebie bardziej potrzebuję niż ty mnie... - mruknął z udawaną obojętnością. - Pewnie, że tak. Pewnie, jak najbardziej. Dam ci czysty ręcznik. Mam gdzieś nową szczoteczkę do zębów.

Zaśmiała się:

- Całowaliśmy się przecież. Możemy dzielić się wszystkim.

- Gdy dorośniesz.

Nie odpowiedziała. Zebrała parę rzeczy i wyszła do łaźni. Patrzył na nią przez okno. Bezdonna dziewczyna. Oto jeszcze jeden życiorys na sprzedaż, życie na pokaz. Lecz bezdomności nie sprzedaje się, bezdomność przeżywa się do bólu, do szpiku kości, samotnie. Bezdonna może pojąć co najwyżej jakiś kloszard na Dworcu Centralnym w Warszawie; jakiś czarnoskóry nędznik w Los Angeles, co za łóżko i wikt w szpitalu poddaje się farmaceutycznym eksperymentom; jakiś Latynos, gdzieś na Jukatanie, co dwa razy na tydzień oddaje krew, po pięć dolarów od miarki; jakaś czterdziestokilogramowa Tajka na Ko Samui, co sprzedaje swą godność za dwieście bahtów; jakiś Afgan bez kropli wody na pustyni; jakiś Chińczyk w szanghajskich kazamatach.

Nasiliło się w nim to bolesne uczucie. Samotność. Bezdonna. Atak paniki. Depresja. Zwątpienie. Za wszelką cenę nie chciał być samotny. Stracił żonę i dziecko, nie chciał stracić także Hasny. Był gotów sprzedać się samemu diabłu. Najzwyczajniej w świecie, na swych antypodach życia chciał być komuś potrzebny. Więc był.